

Wspomnienia wielkich pięściarzy Legii: Henryk Petrich cz.II

Łódź, 5 stycznia 2011 r. godz. 20:10

Henryk Petrich od 1983 do 1993 roku właściwie nie miał sobie równych w kraju w wadze średniej i później półciężkiej, regularnie zdobywając dla Legii mistrzostwa Polski (8 indywidualnie, 5 drużynowo). W międzynarodowych zawodach zazwyczaj rywalizował z Henrym Maske z NRD. Na IO w Seulu w 1988 roku Petrich miał ogromne szanse na awans do finału, ale pod koniec 1 rundy, walcząc z Andrew Maynardem, praktycznie przestał widzieć. Zachęcamy do II części rozmowy z wielkim pięściarzem Legii lat 80-tych.

Pierwsza część rozmowy

Pamięta Pan swój debiut w reprezentacji Polski?

- Mój debiut przegrałem, a ciekawostką jest to, że redaktor Szaranowicz również wtedy w Rostocku debiutował w roli sprawozdawcy. Debiutowałem w meczu NRD - Polska. Walkę przegrałem - to było spowodowane "robieniem" wagi. Aby zbić wagę wszedłem do sauny i to mnie "zabiło" - straciłem siłę. Chyba trochę za dobrze dali jeść zagranicą.

W 1984 Polska nie brała udziału w Igrzyskach Olimpijskich. Żalowaliście, że nie możecie tam startować, tylko w turnieju Przyjaźń?

- Na pewno wiadomo, że IO a turniej Przyjaźni to co innego. Każdy był przygotowany, że jedziemy na Olimpiadę. Zresztą już nawet dostaliśmy sprzęt, a tu dwa tygodnie przed Olimpiadą pojawiła się informacja, że jednak nie jedziemy.

W zastępstwie IO, odbył się turniej Przyjaźni, na którym zdobył Pan srebrny medal.

- Tak, w sumie ten turniej Przyjaźni był mocniej obstawiony niż sama Olimpiada. Tutaj pierwszą walkę (w 1/4 finału) od razu boksowałem z Maske. Był to dla mnie swego rodzaju rewanż, bo wcześniej przegrałem na turnieju Przyjaźni we Frankfurcie 2-3, a tutaj to ja wygrałem 3-2. Dalej w półfinale bez problemu pokonałem brązowego medalistę z Moskwy, Czecha Jána Franka. W finale przegrałem 1-4 z Kubańczykiem, Bernardo Comasem, ówczesnym Mistrzem Świata. Trochę za mało wierzyłem w siebie. Może gdyby mnie inaczej zmotywowano., byłoby inaczej?

Rok później na Mistrzostwach Europy w Budapeszcie odpadł Pan już w eliminacjach.

- Zapomnienie, rutyna... Przegrałem z zawodnikiem, z którym sparowałem i regularnie objąłem go na sparingach [Lofti Ayed - przyp. B.]. Szwedzi wcześniej byli na obozie w Cetniewie i tam sparowaliśmy. No, ale na turnieju nie udało się. W wadze średniej wygrał wtedy Henry Maske.

Z Maske zmierzył się Pan rok później na mistrzostwach Świata w Reno.

- Tam przegrałem walkę półfinałową z Maske. Byłem wtedy jednak kontuzjowany po jednym z turniejów Mercedesa w Niemczech. Miałem złamane żebro. Co prawda wcześniej wygrałem z Rosjaninem, ale później okres przygotowawczy do mistrzostw Świata spędziłem na leczeniu.

W Polsce głównym przeciwnikiem Pana był Stanisław Łakomicz?

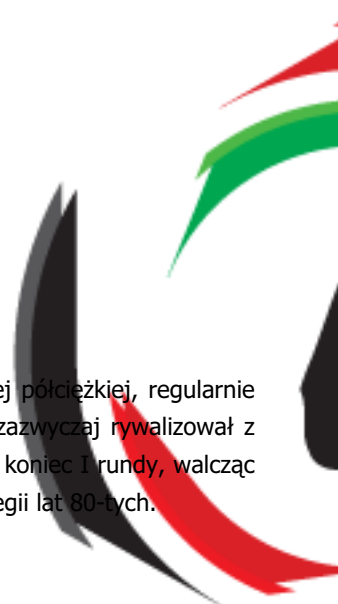
- Tak. Walczyłem wielokrotnie ze Staśkiem, ale potem jak przeszedł do wyższej kategorii wagowej, to praktycznie nie miałem konkurencji.

Natomiast na ringach światowych Pana przeciwnikiem był przede wszystkim właśnie Maske?

- Maske zabrał mi Mistrzostwo Europy i później, można powiedzieć, także Mistrzostwo Świata.

Którą walkę z Maske najlepiej Pan wspomina? Tę w Turynie?

- Tak, w Turynie trochę mu pomógł sędzia, a mnie przeszkodził. Rywal mnie przytrzymał, a sędzia się do mnie przytrzymał i dostałem ostrzeżenie. No ale do sędziego pretensji mieć nie mogę - przegrałem walkę, nie wszystko mi wtedy wychodziło jak chciałem, trochę



się spóźniałem. Powiem szczerze, że wspomnianej wcześniej walki we Frankfurcie nie powinienem przegrać. Ewentualnie minimalnie pierwszą rundę mogłem przegrać, drugą wygrałem, a w trzeciej Maske powinien być liczony. Dostał cios na brodę i usiadł na linach, ale sędzia go trochę przytrzymał i dał mu odpocząć. Ostatecznie na jego terenie przegrałem 2-3.

Co uważa Pan za największy sukces z orłem na piersi. Wicemistrzostwo z 1987, czy brąz w Seulu?

- Jeden i drugi medal jest w zasadzie sporym sukcesem. Wiadomo, że zawsze olimpijski smakuje najlepiej... ale w półfinale olimpijskim nie mogę mieć pretensji do siebie. Przeszkodziło mi zdrowie - nie widziałem na oczy i musiałem przerwać walkę.

Czy to Pan przerwał walkę, czy trener?

- Ja zgłaszałem trenerowi, że nie widzę na oczy i nie ma możliwości boksowania. Nie widziałem w ogóle cisów, staniałem się. To mi się przytrafiło na koniec pierwszej rundy, jak był Amerykanin Maynard był liczony. Potem jeszcze zadałem parę ciosów, nastąpiła przerwa i po niej było coraz gorzej z moim wzrokiem.

Mimo to był Pan bliski finału na tej Olimpiadzie, bo Maynard mógł przegrać przez nokaut już w pierwszej rundzie.

- Było 8 sekund do końca rundy. Można było wygrać walkę przed czasem, niestety nastąpił gong i dziękuję, on doszedł do siebie.

Igrzyska Olimpijskie w Seulu to ostatnie zawody międzynarodowe, w których brał Pan udział?

- Tak. Zrezygnowałem z kadry, głównie dlatego że odszedł Andrzej Gmitruk.

Którego trenera wspomina Pan najlepiej?

- Trenerów miałem wielu. Trenerem kadry był Andrzej Gmitruk, co prawda ja w reprezentacji, choćby przed Olimpiadą trenowałem głównie z Tadeuszem Walaskim - on mnie przygotowywał, tarczował. W klubie trenowałem z Wiesławem Rudkowskim, Sylwkiem Kaczyńskim, Januszem Gortatem. Wszyscy ci trenerzy przyczynili się do moich sukcesów, bo od każdego z nich czegoś się nauczyłem.

Nie miał Pan propozycji wyjazdu zagranicznego, ew. nielegalnego zostania zagranicą przy okazji któregoś z wyjazdów?

- Ja mogłem zostać nielegalnie w Niemczech, miałem takie propozycje. Miałem zresztą rodzinę w Niemczech, ale nie zdecydowałem się na to. W Polsce zacząłem, w Polsce skończyłem.

W Legii spędził Pan wiele lat. Z perspektywy czasu nie żałuje Pan przeprowadzki na Łazienkowską, przed którą tak się wzbraniał na początku?

- Nie. Przypuszczam, że gdybym dalej boksował w Łodzi, na wyżyny mógłbym nie wejść. Tutaj poznałem zawodników, którzy coś osiągnęli, było z kogo brać przykład, można było podglądać najlepszych jak trenują, boksują. Tutaj też na pewno bardziej przykładałem się do pracy niż wcześniej w Łodzi. Starałem się równać do tych którzy byli w Legii, czyli do najlepszych.

Więcej razy zdobył Pan MP indywidualnie niż w drużynie.

- 5 razy w drużynie i 8 razy indywidualnie. Co prawda raz mi zabrali mistrzostwo, w Łodzi z Łąkomcem [w maju 1989 roku - przyp. B.], chyba dlatego że nie chciałem boksować już w kadrze. No i na koniec kariery też mogłem zdobyć mistrzostwo Polski. Może to dlatego, że nie boksowałem już dla Dębicy, tylko dla Zabrze? W półfinale miałem takie same problemy z oczami jak podczas walki w Seulu. Z tym, że tutaj miałem już walkę właściwie wygraną. Sędzia wlepił mi ostrzeżenie, liczenie wymyślił i było 6-6 na koniec walki. A po skończeniu walki dobił siódmy punkt i przegrałem 7-6 z Józefem Strzechowskim z Concordii Knurów [w 1993 roku - przyp. B.].

Dlaczego odszedł Pan z Legii do Igloopolu?

- To nie była moja decyzja tak naprawdę. Tutaj sekcja się rozpadła, wycofaliśmy się z ligi. Dwa lata boksowałem na zasadzie wypożyczenia w Igloopolu Dębica, ale wtedy w mistrzostwach Polski boksowałem dla Legii. Później dwa lata byłem już zatrudniony jako górnik w kopalni, w Legii nie było pieniędzy, tak więc zdecydowałem się boksować dla Walki Zabrze.

Kariere zakończył Pan z własnej woli, czy z powodu regulaminów?

- Musiałem zakończyć karierę ze względu na wiek. Wtedy można było boksować do 33 lat. Napisałem podanie raz i przedłużyli mi do 35 lat. Drugie podanie o przedłużenie możliwości boksowania zostało już odrzucone.

Kusiło Pana wojsko, żeby zostać zawodowym żołnierzem?

- Początkowo nie chciałem. Później jednak miałem zostać zawodowym żołnierzem. Z Adamem Kozłowskim i chyba Darkiem

Kosedowskim robiliśmy badania. Oni zostali przyjęci, a ja nie. Wtedy już był stan wojenny, a ja miałem pochodzenie niemieckie, rodzinę zagranicą, więc zostałem odsunięty. Później miałem jeszcze raz propozycję po Olimpiadzie, ale wtedy powiedziałem: 'zaliczcie mi tamte lata, a wtedy mogę zostać'.

Trener Gmitruk mówił, że gdy zawodnicy przychodzili na zajęcia mocno 'zmęczeni', on odsyłał ich do domu, wiedząc że to lepsze dla ich organizmów niż wypacanie alkoholu. Często bywały takie sytuacje w Legii?

- Ja nigdy nie chodziłem spać w ten sposób, bo na treningi nie przychodziłem "zmęczony". Pewnie, że zdarzały się wieczorne wypadki do warszawskich klubów. Jak miałem służbę wojskową i mieszkało się na ośrodku, to raz na jakiś czas trzeba było gdzieś wyskoczyć.

Które kluby należały do Waszych ulubionych? Adria?

- Adria, chodziliśmy też do Relaksu, do Remontu. Oczywiście wypadki były, gdy nie było zawodów.

Przeprowadzka z Łazienkowskiej na Fort Bema zabiła sekcję?

- Kiepsko to wspominam. Legia była do tej pory w centrum Warszawy. Na Forty trzeba było dalej dojeżdżać, szczególnie w moim przypadku, z Ursynowa.

Warunki treningowe też mieliście słabsze niż na Łazienkowskiej?

- Jeśli chodzi o warunki do treningu, to było podobnie. Na Łazienkowskiej może to było trochę lepiej zorganizowane.

Byliście częstymi gośćmi na basenie Legii?

- Pewnie, często się tam chodziło. Z tym odkrytym basenem, jeszcze jak w wojsku byłem, to był numer. Chodziliśmy z chłopakami kąpać się wieczorami. Obiektu pilnował taki chorąży i zawsze uciekaliśmy. Na golasa oczywiście, bo tak wszyscy biegali się kąpać. I raz niewiele brakowało, a dostałbym porządnym prętem w plecy i to właśnie na gołe ciało. W ostatniej chwili zamknąłem taką kratę i pręt się od niej odbił. Później wszyscy szybko do łóżek, a przełożeni sprawdzali po pokojach... ale wszyscy już "spali".

Wtedy chyba mieliście dobre kontakty z kolegami z innych sekcji.

- Piłkarze wtedy często przychodzili na nasze mecze na Torwarze. Przyjaźniliśmy się też z zapaśnikami, ciężarowcami i wieloma innymi sekcjami. Właśnie ten pobyt na Łazienkowskiej wszyscy najlepiej wspominają. Co miesiąc wszyscy się spotykali, bo szli do jednej kasy. A teraz wszystkie sekcje zostały porozbijane i nie ma tej atmosfery co kiedyś.

Pan również chodził na mecze piłkarzy przy Łazienkowskiej.

- Pewnie i to nie sam. Brałem samochód, pakowałem do bagażnika swoich kolegów, czasem wchodziło i z 10 osób i wwoziłem ich na Legię. Konkretnych meczów już nie pamiętam, ale trochę ich było. Ostatnio byłem na Legii i chciałem zobaczyć stadion. Zapytałem, czy mogę wejść, powiedziano mi, że nie. I tyle widziałem nowy stadion.

Po zakończeniu kariery zawodniczej od razu został Pan przy boksie?

- Prowadziłem treningi bokserskie dla grupy kick-boxingu i dopiero później powstała szkoła, którą prowadzę do dziś. Bezpośrednio po zakończeniu kariery jednak miałem sprzedawać jajka. Nawet miałem je już zapakowane do samochodu i miałem nimi handlować. Wieczorem, dzień przed pierwszym dniem handlowym, dostałem telefon od przyjaciela, któremu kiedyś pomogłem, on wziął mnie jako swojego wspólnika w prowadzonym przez siebie bufecie. Później pracowałem trochę z kilkoma pięściarzami, w tym ok. 6 lat pomagałem Andrzejowi Gmitrukowi przy treningach Tomka Adamka.

A jak sobie radzą Pańscy wychowankowie?

- Myślę, że jeden z naszych zawodników jak dojdzie do siebie po kontuzji, może załapać się na Olimpiadę.

Wycofanie drużyny Legii z ligi było gwoździem do trumny sekcji bokserskiej?

- Chyba tak. Przez brak pieniędzy większość zawodników odeszła do innych klubów, a Legię wycofano z rozgrywek. Ja odszedłem wtedy do Dębicy, później jak poszedłem do Zabrza, odszedł też Grzesiu Jabłoński. Wszystko się tu rozsypało. Poodchodzili starsi zawodnicy jak Gajda, Szczerba.

Teraz nie ma szans na stworzenie porządnej drużyny?

- Może i by się nawet skleiło drużynę z juniorów, których mamy, z młodzieżowców i bodajże jednego seniora. Tylko potrzebny byłby dobry sponsor, żeby chłopaków troszeczkę wzmocnić finansowo. Jest to jakaś motywacja. Nie ma co prawda obecnie takiej ligi jak

była kiedyś i prawdopodobnie już nigdy nie będzie. A szkoda, bo ta liga która u nas była, a to zawodowstwo, które teraz jest, nijak się ma do siebie. Kiedyś przychodziło mnóstwo ludzi na nasze mecze. Wtedy nie można było dojść do ringu! Człowiek się przedzierał, ochrona rozpychała ludzi, żeby można było w ogóle wejść do ringu.

Jak wtedy reagowała publiczność w czasie walk?

- To były przeróżne okrzyki. Jedni krzyczeli "Zabij go", inni wyzywali. Różnie to było, ale zazwyczaj było śmiesznie. Jak jeździliśmy po Polsce, to trzeba przyznać, że za Legią prawie nikt nie przepadał.

Którą walkę Pan jakoś szczególnie wspomina po latach?

- Chyba takiej jednej to nie mam. Z każdej walki coś pamiętam, niektóre analizuje się do tej pory - że mogłem zrobić to i to. Teraz jednak patrzy się pod innym kątem.

Jak wtedy wyglądało analizowanie Waszych walk? Mieliście możliwość nagrywania ich i późniejszego oglądania?

- W późniejszym etapie mojej kariery walki były nagrywane, oglądaliśmy je później i wyciągaliśmy wnioski. Zazwyczaj było jednak spotkanie z trenerem bezpośrednio po meczu i wtedy mówił, co który zawodnik robił źle, co powinien zrobić lepiej.

Interesował się Pan relacjami prasowymi ze swoich walk, jak Pana oceniali dziennikarze?

- Zależy kto pisał, bo nie wszyscy się do tego nadawali. Było kilku naprawdę dobrych dziennikarzy, którzy znali się na boksie i pisali rozsądnie, a niektórzy pisali to co chcieli, myśląc przy tym nazwiska.

Gdzie najczęściej jeździliście na zgrupowania z Legią?

- Najbardziej pamiętam Kiry i wyjazd do Złotowa. Z wyjazdem do Kir zawsze kojarzy mi się Rysiek Michalski, z którym mieszkaliśmy razem w pokoju, który na stołówce zjadał całą kostkę masła. Pamiętam też, że miał wtedy taki mały kolorowy telewizorek JVC, na którym oglądaliśmy co tam wtedy się dało. Potem to głównie jeździłem na zgrupowania z reprezentacją.

Z wyjazdów zagranicznych przywoziliście coś do kraju?

- Zawsze się coś przywoziło, bo u nas wielu rzeczy nie było, ew. można było kupić tylko w Pewexie. Można było przywieźć ciuchy. Wywoziło się natomiast głównie alkohol.

Chyba nie mieliście z tego powodu kłopotów jak np. piłkarze?

- Zdarzały się kontrole. Jak leciałem do Kolonii na mecz RFN - Polska, to w Kolonii na lotnisku tak nas przetrzepali, że zainkasowali nam sporo wódki. Mnie się wtedy upiekło, bo szedłem za trenerem Rudkowskim i jakoś przeszedłem. Koledzy natomiast musieli zostawić swój towar w depozycie, ale nigdy go nie odzyskali, bo wracaliśmy do kraju z innej miejscowości i do tego pociągiem.

Piłkarzy Legii w obawie przed ostrzejszą zabawą, przed ważnymi meczami zabierano na jednodniowe zgrupowania pod Warszawę. U Was było podobnie?

- W boksie tak nie było. Wiadomo, że jak wyjeżdżaliśmy z reprezentacją na jakieś walki zagraniczne, to byliśmy odpowiednio wcześniej i wieczorem w hotelu trener pilnował, żeby wszyscy byli w pokojach.

W jakich godzinach kiedyś odbywały się Wasze walki?

- Liga zawsze była o godzinie 11, cięższe wagi były później i ja zazwyczaj wchodziłem do ringu około 13. Bardzo lubiłem boksować o takiej porze.

Dziś walki zawodowe są ustawiane na środek nocy. Zdarzyło się panu walczyć o podobnej porze?

- Raz, na międzynarodowych mistrzostwach Francji boksowałem z Francuzem i była to walka wieczoru, więc odbyła się jako ostatnia. Rozpoczęła się po północy. Czasami na innych turniejach o mistrzostwo Polski też zdarzało się, że walka odbywała się ok. 22 - szczególnie w jednej z cięższych kategorii wagowych. Wtedy walki były podzielone na przedpołudniową i popołudniową serię.

Walka o tak późnej porze jak obecnie ma jakiś wpływ na zawodnika?

- Myślę, że tak, bo cały dzień żyje tą walką. Jedni się spalają, innym to może służyć. To jednak zbyt długi czas oczekiwania moim zdaniem.

Czy oprócz wspomnianej kontuzji oka, przytrafiły się Panu jakieś urazy?

- W trakcie przygotowań nieraz kolana bolały. Ja miałem też jakiś problem z kręgosłupem, szczególnie jak mnie gdzieś zawiało. Ponadto w 1989 roku chorowałem i dlatego nie startowałem w mistrzostwach Polski.

Jak było kiedyś z opieką lekarską w klubie?

- Mieliśmy swojego lekarza, który opiekował się nami, to był doktor Świącicki. Opiekował się nami jeszcze nawet w tym roku.

Kluby nie zatrudniały wtedy psychologa?

- Mieliśmy psychologa w 1987 roku, przed Mistrzostwami Europy. W klubie psychologa jako takiego nie było. Psychologiem był trener.

Na mecze wyjazdowe jeździliście autokarem. Jaka była atmosfera w czasie podróży?

- Na pewno nie było mowy o śnie. To była grupa osób, która całą drogę mogła grać w kierki za jakieś drobne pieniądze. Przez pół drogi oczywiście wszyscy się kłócili. Wtedy bodajże był 1 zł za 1 punkt. Z Warszawy ruszaliśmy w sobotę, na miejscu nocowaliśmy, w niedzielę rano byliśmy ważeni i następnie odbywały się walki. W drodze powrotnej spaliśmy, jak już wszyscy byli zmęczeni. Wszystko też zależało od tego jak długo trwała podróż. Np. do Słupska jechało się 8-9 godzin.

Nie miał Pan problemów przy ważeniu, że nie mieścił się Pan w swojej kategorii wagowej?

- Ja zawsze pilnowałem wagi, starałem się nie robić błędów, szczególnie nauczony już po meczu z NRD, o którym mówiłem. Wtedy pojadłem za dużo i musiałem wagę zbijać sauną. Raz tylko na lidze, jak trenowaliśmy już na Fortach Bema i mieliśmy tam ważenie, musiałem przebiec kilka kółek, bo wyszło mi 200g za dużo.

Dość gładko pokonywał Pan Svena Ottke.

- Wygrałem z nim dwa razy przez nokaut, w tym raz podczas wspomnianego meczu RFN - Polska w Stuttgarcie. Wygrałem przez KO z Ottke także na Mistrzostwach Europy. Raz namęczyłem się z nim na turnieju w Niemczech. Co prawda wygrałem, ale naprawdę odebrał mi wtedy trochę zdrowia. Zresztą on również musiał być mocno zmęczony, bo później widziałem go podpiętego do kroplówki. Wygrałem z nim także w czasie meczu Polska - RFN we Wrocławiu - tym razem jednogłośnie na punkty.

Zdarzały się wtedy jakieś wpadki z dopingiem?

- Na Mistrzostwach Europy w Budapeszcie w 1985 roku Francuz był zdyskwalifikowany. On miał boksować w finale z Maske, ale po badaniach zmieniono rywala [ostatecznie z Maske walczył Węgier Zoltan Füzesy - przyp. B.].

Jak często odbywały się kiedyś mecze reprezentacji w boksie? Pan ma na koncie 11 takich spotkań.

- One nie były zbyt często, na pewno rzadziej niż wcześniej.

Gdyby w tamtym czasie nie było ograniczenia wiekowego...

- ... to mógłbym sobie jeszcze pofikać. W kraju nie miałem jakichś poważnych rywali. Jedynie do walk ze Staśkiem Łakomcem musiałem się poważnie przygotować, później z Mielnikiem przegrałem w Dębicy, ale wtedy byłem po chorobie i nie byłem zbyt dobrze przygotowany do walki. Ja zresztą nie chciałem wtedy boksować, ale ze względu na to, że nie było komu, to wystartowałem i przegrałem. Srogi rewanż za tę porażkę wziąłem na Gwardii, w Hali Mirowskiej i wygrałem wtedy bez problemu.

Biorąc pod uwagę publiczność - gdzie wówczas było najgoręcej?

- W Słupsku, Jastrzębiu - tam zawsze dużo ludzi przychodziło na mecze. W Warszawie też było świetnie, szczególnie w czasie derbów z Gwardią. Trzeba przyznać, że warszawiacy licznie przychodzili na nasze walki.

Z Legią trudno było wtedy wygrać, mieliście doskonałą pakę.

- Wystarczy wymienić te nazwiska... to była naprawdę mocna grupa: Zbigniew Raubo, Mirek Wawrzyniak, Krzysztof Kosedowski, Dariusz Kosedowski, Bogdan Gajda, Kazimierz Szczerba, Adam Kozłowski, Janusz Czerniszewski, Janusz Gortat . Jak taką mocną siódmką pojechaliśmy do Wrocławia, bo trzy walkowery oddaliśmy, to wygraliśmy mecz 12-8. Tylko jeden, Zenek Świdorski, przegrał wtedy walkę i to po takiej walce, że powiedzmy, że niekoniecznie musiał przegrać.

Kto był Pana trenerem po wyjeździe z Warszawy?

- Przez ostatnie dwa lata w Dębicy i później w Zabrzu trenowałem z Sylwem Kaczyńskim. W kadrze moim ostatnim trenerem był Andrzej Gmitruk.

Mieliście rozeznanie odnośnie słabszych stron rywali? Dziś bokserzy znają się jak łyse konie, oglądają walki. A jak było kiedyś.

- W kraju to się znaliśmy bardzo dobrze. Jak natomiast były międzynarodowe zawody to też zazwyczaj znaliśmy rywali, albo obserwowaliśmy kto jak boksuje. Jak był ktoś mniej znany to się wychodziło w ciemno. Tak kiedyś wyszedłem na walkę z Mistrzem ZSRR, nic o nim nie wiedząc. Nie zdając sobie sprawy z tego, że jest on mistrzem ZSRR. No i wygrałem. Może gdyby trener Gmitruk powiedział mi o jego sukcesach, to bym się inaczej zachowywał w ringu?

Robiło Panu różnicę, gdy rywal był leworęczny, a przez to inaczej ustawiony?

- Nie, dla mnie nie miało to żadnego znaczenia. Można nawet powiedzieć, że lubiłem walczyć z mańkutami. Jedynym trudnym rywalem leworęcznym był Henry Maske.

Trzy razy triumfował Pan w turniejach im. Feliksa Stamma. Startował w nich Pan częściej?

- Tak, raz jeszcze startowałem i zdobyłem srebrny medal. W finale, na Torwarze przegrałem z Amerykaninem. Dwa razy natomiast triumfowałem na Torwarze i raz na Gwardii. W tych zawodach zazwyczaj startowali reprezentanci Polski. Jak zrezygnowałem z kadry, to automatycznie przestałem dalej startować w tych turniejach.

Nie żałuje Pan decyzji o rezygnacji z występów w reprezentacji Polski?

- Trochę żałuję, bo może nawet bym dotrwał do Barcelony i pojechał na kolejną Olimpiadę. Ostatecznie w mojej wadze medal zdobył Bartnik. Kto wie, może gdybym nie zrezygnował, na IO pojechałbym ja, jako bardziej utytułowany i doświadczony zawodnik?

Zawsze stosował się Pan do rad trenera, czy bywało tak, że taktycznie podchodził po swojemu?

- Oczywiście słuchałem się trenera. Wiadomo, że nie zawsze wychodziło to co on chciał. Później, jak się dochodzi do pewnego poziomu, to już boksuje się tak jak się potrafi, a trener tylko wyłapuje i koryguje pewne rzeczy.

W Seulu brązowy medal oprócz Pana zdobył m.in. Andrzej Gołota. Od początku zapowiadał się na pięściarza wielkiej klasy?

- Andrzej w Seulu wygrał to co miał wygrać. Później w ostatniej walce pękł mu łuk brwiowy w pojedynku z Koreańczykiem i zdobył brąz. Co prawda w chwili kontuzji Gołota na pewno nie wygrywał walki, ale wiadomo, że walczy się do końca i tak naprawdę wszystko mogło się jeszcze zdarzyć - mógł np. znokautować przeciwnika.

To był wówczas najlepszy zawodnik młodego pokolenia?

- Tak - on i Jan Dydak. Obaj byli z tego samego rocznika.

Jak Pan oceni polski boks obecnie?

- Brakuje zawodników. Obecnie część zawodników przechodzi na zawodowstwo, a nowych nie ma gdzie szukać. Ponadto mamy za mało startów.

Z polskich zawodowców, komu wróży Pan największą karierę?

- Chyba Tomkowi Adamkowi. Na pewno nie będzie miał łatwo, bo Kliczko jest bardzo trudnym przeciwnikiem do pokonania. Gdyby Tomek miał 200 cm wzrostu, to bym w ciemno powiedział, że Tomek. Moim zdaniem jest najlepiej wyszkolonym zawodnikiem boksującym w wadze ciężkiej.

Zdarza się, że ktoś Pana poznaje na ulicy?

- Tak, czasami tak się zdarza. Niedawno jakiś pan mnie poznał i pamiętał, że boksowałem z Maske. Także ostatnio nawet policjanci i to stosunkowo młodzi mnie poznali. Jednak głównie ludzie starszego pokolenia pamiętają te walki.

Rozmawiali Marcin Bodziachowski i Łukasz Żurowski

Imię i nazwisko: Henryk Petrich

Data i miejsce urodzenia: 10.01.1959, Łódź

Kluby: Widzew Łódź (do 1980), Legia Warszawa (1980-91), Igloopol Dębica (wypożyczenie z Legii, 1991-92), Walka Zabrze (1993) do dziś w roli trenera Legii

Sukcesy w kraju:

Mistrzostwo Polski indywidualnie: 1983, 84, 85, 86 (waga średnia), 1987, 88, 90 i 91 (półciężka)

Mistrzostwo Polski drużynowo: 1981/82, 1982/83, 1984, 1985, 1986

Łącznie: 321 walk, 271 wygranych, 10 remisów, 30 porażek

Liga: 147 walk, 126 zwycięstw, 4 remisy, 17 porażek

Sukcesy międzynarodowe:

Brązowy medalista Mistrzostw Świata w Reno w wadze średniej (1986)

Srebrny medalista Mistrzostw Europy w Turynie w wadze średniej (1987)

Brązowy medalista Igrzysk Olimpijskich w Seulu w wadze półciężkiej (1988)

Reprezentacja Polski: 11 walk, 8 zwycięstw, 3 porażki

Srebrny medal w wadze średniej w zawodach "Przyjaźń-84"

Uczestnik Mistrzostw Europy w Budapeszcie w 1985 roku w wadze średniej

Zwycięzca turnieju im. Feliksa Stamma w wadze średniej w 1983, 86 i 87 roku

Poprzednie teksty historyczne znajdziecie w dziale Historia.

Poniżej prezentujemy walkę w 1/2 finału Igrzysk Olimpijskich w Seulu (1988) w wadze do 81 kg pomiędzy Henrykiem Petrlichem a Amerykaninem Andrew Maynardem. Polak przegrał przez problemy z oczami. Wcześniej Petrlich pokonał w Seulu Koreańczyka Parka Byun-Jina (RSC-2), Duńczyka Nielsa Madsena (5-0), Egipcjanina Ahmeda Elnaggara (5-0). W finale Maynard pokonał 5-0 Nuramgameda Shanavazova.